

POLEMIKI

Mirosław Karwat

GŁOSA DO ARTYKUŁU BRONISŁAWA BOMBAŁY

W numerze pierwszym „e-Politikonu” ukazał się – w dziale „Teoria polityki” – artykuł Bronisława Bombały pt. *Fenomenologia polskiej transformacji*. Zarówno ten przydział, jak i tytuł artykułu to, niestety, pomyłka. Z kolei treść artykułu zestawiona z tak ambitnym i zobowiązującym tytułem budzi zdumienie stopniem metodologicznej niefrasobliwości, powielania potocznych i propagandowo-ideologicznych stereotypów.

(1) Zakwalifikowanie tego tekstu do działu „Teoria polityki” jest kompletnym nieporozumieniem.

To przecież typowy przykład analizy politologicznej, a nie wykład jakiegoś paradygmatu, modelu lub precyzyjnego schematu eksplanacji. Owszem, autor (zresztą czysto werbalnie, bez pokrycia w dalszym wywodzie) odwołuje się do ambitnego zaplecza w postaci fenomenologii, ale podejmuje zadanie opisowe (diagnostyczne), czy raczej nawet – jak się okazuje w toku lektury – aksjologiczno-normatywne (kwalifikacja i ocena omawianych zjawisk historycznych), a nie teoretyczne. Jest to rekapitulacja i próba zastosowania schematów z pogranicza teorii zarządzania i „tranzytologii” w powiązaniu z (równie deklaratywnym jak na początku ten manifest fenomenologiczny) przywołaniem na końcu postulatów personalizmu; kategorii *teoriopolitycznych* praktycznie tu nie zastosowano.

Na tej zasadzie każdy komentarz do wydarzeń politycznych lub przekształceń ustrojowych odwołujący się *explicite* (a zarazem czysto rytualnie) do określonej metody i określonych kategorii teoretycznych uchodziłby za teoriopolityczny.

(2) Wbrew początkowym zapowiedziom artykuł jest nie tyle zastosowaniem metody fenomenologicznej, ile fenomenalistyczną (a nie esencjalistyczną) interpretacją zjawisk historycznych, mocno zabarwioną wątpliwymi aksjomatami.

(3) Wywody autora są mechaniczną mieszanką kilku elementów: raczej rytualnych niż praktycznie zastosowanych deklaracji teoretyczno-metodologicznych; bezkrytycznego, jednostronnego przytoczenia „podsumowań” mechanizmu rządzenia i zarządzania w PRL (z pełnym pominięciem publikacji także krytycznych, nieapologetycznych, a jednak ukazujących bardziej złożony charakter i bilans minionego porządku polityczno-gospodarczego); typowo potocznych stereotypów reżymu politycznego i systemu zarządzania gospodarką PRL; wreszcie – formuł ideologicznych i sloganów o charakterze wyrażnie aktualistycznym i prezentystycznym, potraktowanych jednak jako oczywistości. Obok twierdzeń o bezdyskusyjnych faktach występują generalizacje o charakterze zdań eliptycznych (bez kwantyfikatora, określenia zasięgu twierdzeń – kiedy, gdzie, w jakim stopniu, czy też zawsze, wszędzie, wszyscy), obok zdań opisowych typowo arbitralne oceny.

Takie defekty warsztatowe tego artykułu są najbardziej wyraźne w kilku miejscach:

- s. 181: *Syndrom ten uzupełniała teza o „wrogim otoczeniu”, które odnosiło się nie tylko do krajów zachodnich, lecz było także sposobem postrzegania przez PZPR własnego społeczeństwa. Dlatego też rządy opierały się na siłach policyjnych, a nie społecznym poparciu.*

Stwierdzenia wręcz kuriozalne.

Po pierwsze, czysto potoczne: taka wizja partii rządzącej (potocznie – podmiotowo, a nie relacyjnie lub funkcjonalnie – postrzeganej „władzy”) zupełnie ignoruje fakt socjologiczno-historyczny, jakim było zakorzenienie społeczne tej „władzy”. Narzucenie ustroju, autorytarny styl rządów oraz postępująca alienacja rządzących to fakty, które nie zmieniają innego faktu, że przywódcy, aparaczczy,

aktywiści i szeregowi członkowie (kilka milionów ludzi, razem z rodzinami, które nie przeprowadziły się w jakieś inne, mityczne miejsce!) wywodzili się z tego samego społeczeństwa, a nie ze zrzutu setek tysięcy czy milionów spadochroniarzy.

Po drugie, ahistoryczne: stopień represywności reżymu politycznego i hermetyczności partii rządzącej zmieniał się z czasem – i z upływem czasu zmieniała się proporcja między represywnymi gwarancjami utrwalenia ustroju a oddziaływaniami ideologicznymi (indoktrynacyjnymi, wychowawczymi, propagandowymi). Nie można opisywać kilkudziesięciu lat ewolucji systemu przez pryzmat jednego tylko okresu (np. stalinizmu czy stanu wojennego – to zresztą również różne jakości).

Po trzecie, oparte na typowym przesunięciu kategorialnym, pomieszanu kryteriów. Czym innym jest wszak wrogość wobec określonych sił politycznych – zewnętrznych i wewnętrznych, a czym innym sekciarska nieufność i podejrzliwość wobec otoczenia, nawet wobec własnej bazy (to jednak cecha pierwszej dekady, a nie całego czterdziestopięciolecia). Wrogość i represywność wobec opozycji, dysydentów nie jest tożsama z wrogością wobec całego społeczeństwa. Nie tylko „władza” (zwłaszcza autorytarna) nigdy nie reprezentuje „całego społeczeństwa”, ale również dysydenci nie mają takiego komfortu.

I po czwarte, generalizacja oparta na schemacie „policja (inwigilacja, represje) zamiast poparcia społecznego” to gołosłowny slogan propagandowy, wyraz przewagi myślenia życzeniowego nad poczuciem rzeczywistości i analizą realiów historycznych. Owszem, do grzechów i słabości „władzy ludowej” należał arbitralny sposób rządzenia i poleganie bardziej na kontroli (indoktrynacyjnej i siłowej) nad społeczeństwem niż na samym w sobie poparciu. Ale nie znaczy to, że można ignorować fakty historyczne i socjologiczne, jakim były selektywne, zmienne w natężeniu, zasięgu społecznym i przedmiocie przejawy poparcia dla tej władzy, zanim je utraciła niemal całkowicie. Jednak żeby się z tym uporać, trzeba na problematykę legitymizacji, poparcia społecznego i oporu społecznego spojrzeć wieloaspektowo i historycznie, a nie jednowymiarowo i schematycznie; z niezbędnym obiektywizmem, a nie z

apriorycznych pozycji takiej czy innej poprawności ideologicznej. Nawet sondaże dotyczące społecznej oceny stanu wojennego – wtedy i dziś, po latach – powinny skłonić autora do myślenia.

- s. 182: Tuż obok siebie występują dwa zdania sprzeczne. W jednym autor stwierdza, że „gospodarka wymyślona” była odizolowana od wpływu interesów i potrzeb społeczeństwa, a już w następnym, że z powodu lekceważenia praw ekonomicznych i gorsetu politycznego dominował w niej niejawni przetarg interesów. I w sporej części artykułu mowa jest o przemożnej sile grup interesów. „Społeczeństwo” jawi się tu jako mistyczny, a przy tym jednorodny byt; i oczywiście zdaje się też, że wszelkie inwestycje – zarówno w rozwój środków produkcji, jak i w infrastrukturę socjalną (której gospodarka deficytu z czasem nie była w stanie udźwignąć) – sprzeczne były z interesem społeczeństwa. Litości! Po wstępnych deklaracjach fenomenologicznej wirtuozerii należałoby zadać sobie trud i precyzyjnie odnieść się do złożonego splotu struktury społecznej i interesów partykularno-grupowych. Z podobną wnikliwością należałoby podejść do bilansu zaspokojonych potrzeb społecznych (a żadne dzisiejsze egzorcyzmy nie przesłonią osiągnięć PRL w przezwyciężeniu zacofania społecznego i gospodarczego, w nadrobieniu zaległości cywilizacyjnych), kosztów ponoszonego przez ludzi pracy wysiłku, zmarnowanych szans, wyrzeczeń daremnych, przedsięwzięć chybionych, potrzeb wygłodzonych, stłumionych lub zlekceważonych, także rozmaitych krzywd.
- s. 189: *w powojennej historii Polski pracownicy byli traktowani bardziej jak „siła robocza” niż poważny partner pracodawcy partyjnego.*

To skrót myślowy wyjątkowo pozbawiony precyzji; godny tabloidu, lecz nie artykułu naukowego.

Partyjny pracodawca? Państwo zostało upartyjnione, lecz jako żywo to nie partia była pracodawcą. Tu po raz kolejny autor myli kategorie i płaszczyzny,

poczynając od nierozróżnienia porządku formalnego i nieformalnego, a kończąc na mitologizacji tego ostatniego. Owszem, to ocena i wola organów partii decydowała o rekrutacji i selekcji kadr kierowniczych, a przynależność partyjna ułatwiała wykonywanie pewnych zawodów i karierę zawodową. Ale nie dajmy się zwariować: stosunek pracy między sprzedawcą w sklepie Gminnej Spółdzielni, strażnikiem parkingowym, pielęgniarką w szpitalu lub domu opieki a pracodawcą nie był dokładnie tym samym, co stosunek między tymi ludźmi (bezpartyjnymi lub należącymi do partii) a partią. Tu autor dał się ponieść atmosferze z epoki strajków sierpniowych i posierpniowych, kiedy to konflikt polityczny między „Solidarnością” a PZPR utożsamiono bez reszty z konfrontacją między światem pracy a światem władzy. Ale nawet wtedy (pomijam już uproszczenie w tej wizji podziału, gdyż świat pracy także był podzielony politycznie!) formalnie stroną w negocjacjach i tzw. umowach społecznych były organy administracji, a nie partii.

Opisany tak nonszalancko instrumentalny stosunek do ludzi pracy (jako siły roboczej) równie dobrze można by odnieść (uwzględniając strukturalną zmianę dominującego typu pracodawcy) do dzisiejszej ideologii i praktyki, gdzie świat pracy najemnej określa się w wyjątkowo „humanistycznej” nowomowie jako „zasoby ludzkie”. Autor nie widzi różnicy między: ponadustrojowymi ciętami biurokratycznymi i technokratyczno-menedżerskimi, jakie nieustannie powtarzają się w kolejnych ustrojach i mutacjach inżynierii społecznej; autorytarnym lub totalitarnym wzorcem stosunków politycznych i stosunków pracy; ideologiczną oprawą tych stosunków. „Traktowanie” pracowników inaczej wyglądało w wizji ideologicznej (tu akurat obowiązywał kult pracy, klasy robotniczej – inna rzecz, w jakim stopniu stawał się coraz bardziej fasadowy), a inaczej w praktyce zarządzania i w praktyce politycznej. Jednak gdy mowa o alienacyjnym charakterze PRL i uprzedmiotowieniu ludzi pracy, to warto mieć świadomość wielowymiarowej struktury zjawiska oraz paternalistycznego, a nie jakoby anty-pracowniczego profilu tej relacji. Widać, że autor bez żadnego dystansu przyswoił spopularyzowany przez Tischnera typowo ideologiczny stereotyp „moralnej eksploatacji pracy”, w którym

połączano ze sobą ekonomiczny wymiar stosunku pracy, prawny status pracowników jako osób podporządkowanych (to kwestia sama w sobie złożona i pełna sprzeczności nie tylko w PRL) oraz psychologiczno-moralne kryteria alienacji pracy. Wypadałoby pamiętać o wszystkich faktach. Z jednej strony, w Polsce Ludowej funkcjonował rozwinięty system świadczeń socjalnych i ustawodawstwa socjalnego (coraz trudniejszy, aż w końcu niemożliwy do zagwarantowania), z drugiej strony stłumiono pracowniczą samorządność. Ale zamiast złożonej analizy złożonego zjawiska mamy w tym tekście formułkę jak z broszury agitacyjnej.

- s. 183: Autor nie może zdecydować się, czy to partia upartyjniła państwo, czy też została upaństwowiona w roli szczególnego aparatu władzy. Owszem, jest to dylemat dla wszystkich badaczy, ale nie można w wywodach w odstępie kilku zdań przeskakiwać w tej kwestii od ściany do ściany.
- Na s. 191 czytamy, że tzw. umowa społeczna z roku 1980 była kompromisem, ugodą między władzą a społeczeństwem, podczas gdy Okrągły Stół to już porozumienie elit – między władzą a opozycją. Ta pierwsza kwalifikacja to popularna interpretacja, typowo potoczna i życzeniowo-ideologiczna („oczywiste” jakoby jest, że „władza” reprezentowała tylko władzę, a „Solidarność” całe społeczeństwo). Konsekwentnie naukowa analiza nie opiera się na potocznych pojęciach „władzy” i „społeczeństwa”, bierze pod uwagę fakt, że społeczeństwo nie jest podmiotem, lecz złożonym układem społecznym, natomiast konflikty polityczne rozgrywają się między różnymi siłami społecznymi, grupami interesów. Realistyczna i uczciwa analiza historyczno-socjologiczna przyjmuje do wiadomości, że PZPR miała szerszą niż „nomenklatura” bazę społeczną. Ta baza kurczyła się, coraz bardziej wyobcowana społecznie partia ulegała rozkładowi, legitymizacja jej rządów topniała – ale dynamika tego procesu dekadencji to już zupełnie coś innego niż statyczna dychotomia ‘władza-społeczeństwo’, zwłaszcza jeśli bierze się pod

uwagę fakt, że „Solidarność” stanowiła konglomerat nader sprzecznych dążeń społecznych.

- Końcowa partia artykułu to już czysta publicystyka, gdzie teza o jakiejś reaktywacji i kontrofensywie sił postkomunistycznych („oczywiście” z programem zamrożenia przemian i kultywowania przeszłości) podana jest jako aksjomat bez jakichkolwiek uzasadnień empirycznych.

Artykuł ten – jako przykład „wypadku przy pracy”, nieprofesjonalnej wpadki zawodowca – jest dla nas wszystkich nauką o tyle, że potwierdza, jak subtelnego warsztatu i metodologicznej samoświadomości oraz samokontroli, dystansu do obiegowych poglądów i skrótów myślowych wymaga podejmowanie analiz politologicznych; jak wielką pułapką okazuje się złudne poczucie oczywistości pewnych założeń, schematów poznawczych i ocen. Autorowi życzę bardziej udanych demonstracji zawodowej kompetencji.

Mirosław Karwat – profesor w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego